

Pielgrzym

Autor tekstu: **Giovanni Boccaccio**

opowieść siódma dnia trzeciego

«Żył niegdyś we Florencji młody szlachcic, Tedaldo degli Elisei zwany, który miłował okrutnie pewną damę. imieniem Ermellina, żonę niejakiego Aldobrandina Palermini. Młodzieniec ów, dzięki swoim chwalebnyim obyczajom, godzien był cieszyć się pragnień swoich skutecznieniem, aliści fortuna, nieprzyjaciółka szczęśliwych, wspaniałemu temu stanęła. Nie wiedząc z jakiego powodu dama, pełna dlań przez czas dłuższy przychylności, takiego doń wstrętu nabrała, że nie tylko poselstw od niego przyjmować nie chciała, ale i unikała jego widoku. Z tej przyczyny Tedaldo w ciężką i przykrą melankolię popadł. Ponieważ jednak miłość swoją dobrze ukrywał, nikt powodu jego strapienia odgadnąć nie mógł. Starając się wszelkimi sposobami odzyskać miłość, którą utracił był bez żadnej z swojej strony winy, i widząc, że wszystkie jego wysiłki są próżne, postanowił ojczyznę swoją opuścić, aby sprawczyni nieszczęścia widokiem jego strapienia i smutku cieszyć się nie mogła. Zebrał więc pieniądze, ile zdołał, i w wielkiej tajności, nie żegnając się z nikim, krom jednego przyjaciela, który o wszystkim uwiadomiony, do Ankony wyruszył pod przybranym nazwiskiem Filippa di Sanlodeccio. W Ankonie zaciągnął się na służbę do pewnego bogatego kupca i na pokładzie jego okrętu odpłynął na Cypr. Obyczaje jego i poczynania tak się kupcowi podobały, że nie tylko znaczne zasługi mu ustanowił, ale i do spółki go przypuścił poruczając mu pieczę nad większością dzieł swoich. Tedaldo tak je szczęśliwie prowadził, że stał się po kilku latach poważanym i bogatym kupcem. Chocia pośród zajęć swoich rozlicznych często swoją damę okrutną wspominał, chocia miłość nękała go srodze, tak iż rad by był ujrzeć jak najprędzej Ermellinę, przecie okazał się tak twardym, że w przeciągu siedmiu lat nieustannie samego siebie przewyciężał. Zdarzyło się jednak, że pewnego razu usłyszał na Cyprze kanconę, którą niegdyś sam był ułożył, wysławiając w niej miłość wzajemną obojga i doznawane od pani swej rozkosze, i pomyślał, że jest rzeczą niemożliwą, aby dama jego o wszystkim zapomnieć miała. Owładła nim tak ogromna żądza ujżenia Ermelliny, że już wytrzymać dłużej nie będąc w stanie postanowił do Florencji powrócić. Przywiódłszy swoje sprawy do porządku, wyruszył do Ankony w towarzystwie jednego sługi. Stamtąd odesłał swoje kufry do Florencji, do jednego z przyjaciół ankońskiego kupca, sam zaś przybył wraz ze sługą do miasta chyłkiem, przebrany w strój pielgrzyma powracającego od Grobu Świętego. Wszedłszy do grodu, zamieszkał w małej gospodzie, należącej do dwóch braci i położonej w pobliżu domu jego damy. Pierwsze swoje kroki tam obrócił, aby ją ujrzeć. Aliści okna i drzwi zamknięte znalazł i wniósł stąd, że dama jego albo umarła, albo też do innego miasta się przeniosła. Pełen srogiej turbacji, udał się do domu swoich braci i ujrzął ich wszystkich czterech w żałobne szaty przybranych. Tym widokiem wielce zadziwiony i pewien, że do tyła strojem swoim i pozorem jest odmieniony, iż nikt go łatwo nie pozna, zbliżył się do pewnego szewca i zapytał, dlaczego ci panowie są w czarne szaty ubrani? Szewc odparł na to: - Jeszcze i dwóch tygodni nie ma, jak jeden z ich braci, imieniem Tedaldo, który już od dawna stąd odjechał, zabity został. Zdawa mi się, że dowiedli przed sądem, iż pozbawił go życia Aldobrandino Palermini (już go pochwycono!) za to, że Tedaldo jego żonę miłował i że powrócił tu w przebraniu, aby ją ujrzeć. Tedaldo wielce się zadziwił na myśl, że ktoś tak podobny do niego się okazał, i litować się jął w duszy nad losem Aldobrandina. Dowiedziawszy się jednak, że Ermellina żyje i dobrym zdrowiem się cieszy, powrócił do gospody wraz z nastaniem nocy, pełen różnorodnych myśli. Powieczerzawszy wraz ze sługą, dostał na nocleg komnatę znajdującą się na najwyższym piętrze domu. Jednakoż natłok myśli, niewygodne łoże, a może i nędzna wieczerza, którą spożył, zasnąć mu długo nie pozwalały. Około północy zdało mu się, że kilku ludzi spuszcza się z dachu domu; wkrótce w szparze drzwi, wiodących do jego komnaty, ujrzął światło. Dlatego też, podkradłszy się cicho do szpary, jął patrzeć, co by to znaczyć miało. Obaczył piękną dziewczynę, trzymającą w ręku ogarek, a obok niej trzech mężów, których kroki niedawno na dachu słyszał. Po uprzejmym pozdrowieniu jeden z nich w te słowa do dziewczyny się odezwał: - Bogu Najwyższemu niech będzie chwała za to, że możemy teraz spać spokojnie. Morderstwo Tedalda degli Elisei dowiedzione zostało przez jego braci Aldobrandinowi Palermini. Aldobrandino przyznał się i wyrok na niego jest już podpisany. Mimo to ostrożność stosowną zachować musimy, bowiem gdyby kiedyś wyszło na jaw, że to my winowajcami jesteśmy, spotkałby nas ten sam los co Aldobrandina.

Rzekłszy to pożegnali się z dziewczyną, która na tę wieść wielce się uradowała, i spać poszli. Tedaldo usłyszawszy te słowa, jął rozmyślać nad tym, jakim to omylnościom umysły ludzkie są podległe; wspomniawszy swoich braci, którzy opłakali i pochowali jakiegoś obcego człowieka, później pomyślał także o niewinnym Aldobrandinie skazanym na śmierć dzięki podejrzeniom i świadectwom fałszywym. Ujrzał dowodnie srogość praw i sędziów, którzy często miast tego, aby prawdę rozeznac i ujawnić, okrutnym sposobem nieprawdziwe zeznania wymuszają i nazywają siebie sługami Boga i sprawiedliwości, podczas gdy są jeno rzecznikami diabła i kłamstwa.

Potem Tedaldo jął szukać środka ratunku dla Aldobrandina, aż wreszcie pewien zamysł powziął.

Wstawszy rano ostawił służącego w gospodzie i udał się do domu swojej damy. Znalazł przypadkiem drzwi otworem stojące i wszedłszy ujrzał Ermellinę siedzącą w dolnej izbie na podłodze i płaczącą gorzko. Z litości sam o mały włos nie zapłakał. Zbliżył się do niej i rzekł:

- Nie turbujcie się, pani! Pociecha jest już bliska.

Dama, słowa te usłyszawszy, podniosła głowę i rzekła przez łzy:

- Wydajesz mi się obcym pielgrzymem, dobry człowiecze! Cóż możesz wiedzieć o moim smutku i pociesz?

- Pani — odparł pielgrzym — przybywam właśnie z Konstantynopola, skąd Bóg umyślnie mnie przysłał, aby łzy wasze w radość zamienić, a małżonka waszego od śmierci wybawić.

- Jak to być może? — zawołała dama. — Jeśli z Konstantynopola przybywacie i dopiero przed chwilą weszliście do grodu, skądże wiedzieć możecie, kto jest moim mężem i kim ja jestem?

Wówczas pielgrzym na dowód, że prawdę mówi, opowiedział jej od początku o przeciwnościach, jakie Aldobrandino znosił, nazwał ją po imieniu, wymienił, ile lat jest już za mężem, i o mnóstwie rzeczy dotyczących się jej spraw powiedział. Ermellina, niesłuchanie tym wszystkim zadziwiona, biorąc go za proroka, padła przed nim na kolana i na wszystkie świętości zaklinała go, aby jak najspieszniej Aldobrandina ratował, jeśli dla jego ocalenia się zjawił, bowiem już niewiele czasu na ten ratunek pozostaje.

Pielgrzym, udając natchnionego, rzekł w te słowa:

- Powstańcie, pani, łzy swe pohamujcie i posłuchajcie, co wam oznajmić pragnę. Proszę was jeno, abyście się najmniejszym słówkiem przed kimkolwiek nie zdradzili. Bóg mi objawił, że nieszczęście was teraz dotykające jest karą za grzech, któryście kiedyś popełnili. Bóg pragnie, abyście obecnie grzech ten, choćby w części, odpokutowali, nim go w przyszłości całkiem nie zmażecie, inaczej bowiem w jeszcze cięższe popadniecie terminy.

- Ach, świątobliwy mężu — zawołana dama — niejednym grzechem na mojej duszy ciąży, tak iż odgadnąć nie mogę, za co Bóg stosownej pokuty ode mnie żąda. Jeśli wam jest zatem wiadomy, wymieńcie mi go, a uczynię wszystko, co mogę, aby go zmazać.

- Wierę — odparł pielgrzym — dobrze wiem o nim i od was więcej dowiadywać się o nim mi nie trzeba, a jeśli się pytam, to jeno dlatego, abyście jeszcze większą skrucę uczuli. Ale powróćmy do rzeczy! Powiedzcie mi, czy pomnicie o tym, żeście mieli kiedyś kochankę?

Dama usłyszawszy te słowa, westchnęła głęboko i niepomiernie się zadziwiła, nie sądziła bowiem, żeby ktokolwiek na świecie o jej miłości wiedział, jakkolwiek szeptano o niej w czasie, gdy zginął ten, którego pogrzebano jako Tedalda, a źródłem tych pogłosek było parę nierozważnych słów wtajemniczonego we wszystko towarzysza Tedalda. Po chwili tak rzekła:

- Zaiste, widzę, że Bóg powierzył wam wszystkie ludzkie tajemnice i że na nic się nie zda cokolwiek przed wami ukrywać. W samej rzeczy, w młodości mojej miłowałam gorąco tego nieszczęśliwego młodzieńca, o zabójstwo którego męża mego oskarżono. Nad śmiercią jego tyle łez wylałam, że nawet dziś jeszcze wielką boleść uczuwam. Chocia przed jego odjazdem surową i nieużytą dlań byłam, jednakże ani rozłąka, ani tak długa jego nieobecność, ani śmierć jego wyrwać go z mego serca nie zdołały.

- Nie nieszczęśliwego młodziana — odparł pielgrzym — którego właśnie zabito, ale Tedalda Elisei kochaliście, pani. Aliści powiedzcie mi, z jakiej przyczyny zagniewaliście się na niego? Zali was czymkolwiek dotknął?

- Bynajmniej — odparła dama. — Bóg widzi, że mi żadnej zniewagi nie wyrządził. Przyczyną całego zła były słowa pewnego przeklętego mnicha, który mnie kiedyś spowiadał. Gdy mu wyznałam miłość, jaką do Tedalda żywię, i moją z nim zażyłość, rzucił na moją głowę takie gromy, że jeszcze dziś dreszcz trwogi mną wstrząsa. Zagroził mi, że jeśli z Tedaldem nie zerwę, zostanę na dno piekła w paszczę diabelską wrzucona i na ogień wieczny skazana. Na te słowa taki strach mnie schwytał, że postanowiłam zbliżenia z Tedaldem unikać, na jego listy nie odpowiadać i wysłańców jego nie przyjmować. Aliści mniemam, że gdyby Tedaldo wytrwał,

miast wyjeżdżać stąd z rozpaczą, to na widok jego serca, topniejącego z miłości, jak śnieg na słońcu topnieje, odmieniłabym swoje surowe postanowienie, gdy niczego na świecie bardziej nie pragnęłam.

- Pani — rzekł pielgrzym — oto jest ów jedyny grzech, za który teraz cierpieć musicie. Wiem dobrze, że Tedaldo nijakiego gwałtu wam nie zadał, pokochaliście go bowiem z własnej, nieprzymuszonej woli, ponieważ się wam podobał. Później, woli waszej zadosyć czyniąc, wszedł do waszego domu i bliski z wami zawiązał stosunek. Wy zasię słowami i czynami tyleście mu przychylności okazali, że jeśli pierwiej was miłował usilnie, to potem miłość jego jeszcze tysiąc razy się wzmogła. Jeśli zaś tak było w istocie, a wiem, że inaczej być nie mogło, cóż was tedy kiemu przywiodło, żeście go tak okrutnie odepchnęli? W takich okolicznościach z wielką rozważą postępować należy. Jeśliście czuli, że złego swego postępkowi kiedyś żałować będziecie, nie trzeba go było czynić. Jak on do was należał, tak wy niemniej jego własnością byliście. Pozbawiając go posiadania waszej osoby bez jego zgody i woli, popełniliście rabunek i uczynek niegodziwy. Dowiedzcie się teraz, że i ja jestem mnichem i że znam się dobrze na sztuczkach braciszków zakonnych. Gdy teraz z wielką swobodą o tym mówię, to tylko dlatego, że waszą korzyść mam na celu i że pragnę, abyście lepiej niż dotychczas mnichów poznali. Byli ongiś na świecie świątobliwi i zacni mnisi, aliści ci, którzy teraz braćmi się zowią i chcą być za nich uważani, nic z mnichami wspólnego nie mają krom habitu. A nawet ten habit niezbyt jest do zakonnej sukienki podobien. Założyciele zakonów ustanowili habit ubogi, wąski i z grubej uczyniony materii, na znak pogardy dla rzeczy doczesnych, od chwili gdy ciało swe w tak nędzny strój przyodziali. Teraz zasię ubierają się mnisi w szerokie, lśniące habity z najprzedniejszego sukna uszyte i nadają im krój wytworny, jak na arcybiskupów przystało. Pyszną się i dmą w nich bezwstydnie na placach i w kościołach, niby ludzie świeccy, z swoich strojów dumni. Jak rybak, który od jednego zamachu siecią swoją mnóstwo ryb w rzece zagarnia, tak też i oni, rozwarłszy obszerne poły swych habitów, chcą w nie owinąć wiele dewotek, wdów, głupich kobiet i mężczyzn. Tylko o to się ciągle troskają, innych obowiązków nie znając, dlatego też, mówiąc po prawdzie, jeno barwa pozostała im z habitu. Podczas gdy dawniejsi mnisi starali się dusze ludzkie dla Boga pozyskać, to dzisiejsi jedynie bogactw i kobiet pożądają i całą umiejętność swoją tylko na to wysilają, aby gniewnymi słowami i strasznymi obrazami głupców zatrwożyć i wmówić w nich, że grzechy oczyścić można mszą lub jałmużną. Wszystko to czynią w tym celu, aby im (którzy na się habity wdzieli nie dla pobożności, jeno dla małości serca i odrazy do pracy) ludzie dostarczali chleba, posyłali im wino i dawali tłuste kęsy na intencję zbawienia dusz ich przodków. Prawda, że jałmużna i modlitwy grzechy oczyszczają, aliści gdyby ludzie pobożni wiedzieli, na jaki cel ich dary się obracają, na pewno by je przy sobie zatrzymali albo też radniej świniom rzucili. Ponieważ zaś ci filuci wybornie wiedzą, że im mniej ludzi jednym skarbem się dzieli, tym więcej na każdego przypada, więc też nie szczczędzą trudu i krzyku, aby strachem innych od tego odpędzić, co sami w całości posiadać pragną. Gromią mężów za rozpustę, aby zgromieni ukorzyli się i gromiącym białogłowy pozostawili, piętnują lichwę i zysk nieuczciwy, jednak miast zwrócić właścicielom należne im pieniądze jeszcze szerzej swoje habity otwierają i rzucają się w pogoń za beneficjami, tłustą prebendą i arcybiskupstwami zdobywanymi za ten grosz, który poprzedniego posiadacza o zgubę i potępienie przypawić miał. Gdy ich zasię na plugastwie i mnogiej niegodziwości ktoś pochwyli, tym kształtem odpowiadają: „Czyńcie wedle słów naszych, nie wedle naszych postępków.” Mniemają widać, że zwalnia ich to od każdego brzemienia, tak jakby owce wytrwalsze i rozumniejsze być winny od pasterzy. Wiedzą też dobrze zazwyczaj, jak wielu ludzi zadowalnia się podobnym responsem i rozumie go inaczej, niżby go pojmować należało. Dzisiejsi mnisi pragną, abyście czynili to, o czym oni mówią, a więc napełniali ich kiesy pieniędzmi, odkrywali im swoje tajemnice, zachowywali czystość, krzywdy wybaczali, byli cierpliwymi i złej mowy się strzegli — wszystko to są rzeczy szlachetne, bogobojne i święte. W jakimże celu jednakoż ich nauczają? Dlatego aby sami mogli czynić to, czego by dopiąć nie mogli, gdyby to czynili ludzie świeccy. Zaliż ktoś nie wie o tym, że człek pieniędzy nie mający długiemu próżnowaniu oddawać się nie może? Jeżeli grosz swój na własną przyjemność obrócisz, to czcigodny ojciec nie będzie już próżnować zgodnie ze swą regułą; gdy sam okoliczne niewiasty odwiedzać pocziesz, to dla braciszków miejsca już zabraknie; gdy nie będziesz cierpliwie zniewag znosił, to bratu przejdzie ochota wdziierać się do twego domu i cześć twojej rodziny szkalować. Po cóż się jednak nad tym tak szerzę? Oskarżają samych siebie, ilekroć wobec rozumnych ludzi z podobnym responsem na harc wyruszają. Czemuż to do zakonu wstępują, jeśli nie czują się dość wstrzemięźliwymi i świątobliwymi, a

jeśli już chcą bogobojnymi rzeczami się zajmować, dlaczego nie idą za świętym przykładem Ewangelii: „Począł Chrystus czynić i nauczać”? Niechajże zatem i oni wpierv działają, a później pouczają innych. Nie raz, ale tysiąc razy w mym życiu widziałem mnichów zalecających się i przymilających nie tylko do białogłów świeckich, ale i do zakonnic. Owóż byli to właśnie ci, co najgłośniej z kazalnicy swych grzmieli. I takich to mielibyśmy naśladować? Kto chce, niechajże tak czyni wszelako Bogu wiadome jest, czy rozumnie postępuje. Założmy jednak teraz, że mnich, który was gromił, miał słusność mówiąc, że złamanie wiary małżeńskiej jest wielkim grzechem. Zali, pytam, nie jest większym grzechem ograbić człowieka, zabić go albo uczynić go wygnańcem wędrującym po świecie? Sądzę, że nikt temu nie zaprzeczy. Ścisły związek mężczyzny z białogłową — to grzech przyrodzony, ale grabież i zabójstwo, i przegnanie precz są występkami ze złego umysłu wypływającymi. Już wam to dowodnie wykazałem, żeście Tedalda ograbili, odebrawszy mu siebie, chocia z własnej, nieprzymuszonej woli przedtem do niego należeliście. Teraz powiem wam jeszcze, żeście na jego żywot godzili, bowiem z dnia na dzień coraz okrutniejszą się stając, popychaliście go k'temu, aby własnymi rękami śmierć sobie zadał. Prawo zaś głosi, że ten, kto jest złego uczynku pobudką, winien taką samą karę ponieść jak ten, który zbrodnię popełnił. A temu zaprzeczyć nie możecie, żeście spowodowali jego wygnanie i siedmioletnią po świecie tułaczkę. Każda z tych trzech win jest daleko sroższym grzechem niżli ów ścisły związek, w którym żeście z Tedaldem żyli. Ale może Tedaldo na podobny postępek zasłużył? Oczywiście jest rzeczą, że nie. Samiście to przyznali, a i ja wiem, że was bardziej niż siebie miłował. Gdy się znajdował tam, gdzie mógł o was mówić nie wywołując podejrzeń i dobrej sławy waszej na szwank nie przywołując, uwielbiał was, czcił i nad wszystkie białogłowy wynosił. Cały swój los, cześć i wolność swoją w wasze ręce złożył. Nie byłże młodzieńcem szlachetnego rodu? Nie przewyższał urodą i odwagą innych dzielnych młodzieńców? Zali go wszyscy nie miłowali? Zali nie spoglądali na niego chętnym okiem? Temu także nie zaprzeczycie. Jakże więc mogliście za podszeptem głupiego, podłego i zawistnego klechy tak surowie z Tedaldem postąpić? W istocie pojąć nie mogę, przez jaki to błąd i zaślepienie białogłowy mężczyzn od siebie odpychają i lekce ich sobie ważą, gdy tymczasem, zważywszy, czym są i czym jest mężczyzna, z woli bożej nad wszystkie istoty świata wywyższony, powinny się za szczęśliwe poczytywać, jeśli miłość jego pozyskają, a potem wszystkie jego chęci uprzedzać i drzeć tylko o to, aby miłować nie przestał. Wy zaś coście uczynili pod wpływem słów mnicha, który na pewno był pospolitym darmozjadem i pasożytem? Łotr ten, wierzę, chciał wtargnąć tam, skąd innego tak gorliwie wypierał. Jest to więc grzech tego rodzaju, że sprawiedliwość boska, ważąca wszystko na słusznej szali, bez kary ostawić go nie mogła. Jak wy, bez nijakiej przyczyny, Tedalda od siebie oddaliliście, tak też mąż wasz całkiem niewinnie teraz przez Tedalda w srogie terminy popadł, wy zaś w frasunek i strapienie. Skoro zaś chcecie z tego nieszczęścia się wydobyć, musicie jedną rzecz przyrzec, a nade wszystko później ją uczynić: jeśli kiedykolwiek Tedaldo z długiego wygnania swego tutaj powróci, powrócicie mu miłość swoją, łaskawość i wszystkie względy; słowem, przywrócicie go do tego stanu, w jakim się znajdował pierwiej, nim żeście dali posłuch głupiemu

klesze.

Pielgrzym zakończył mowę swoją, której dama słuchała z wielką uwagą i w milczeniu, bowiem uznawała słusność jego wywodów. Wierząc, że cierpienia jej są, w samej rzeczy, karą za grzech

popełniony,

rzekła.

- Mężu boży, widzę, że słowa wasze są prawdziwe, a także z waszego opisu poznaję, jakimi są ci mnisi, których dotychczas za świętych poczytywałam. Ani chybi, wielkim grzechem był mój wobec Tedalda postępek; gdyby to w mojej mocy leżało, chciałabym wyrządzoną mu krzywdę naprawić, ale cóż uczynić mogę? Tedaldo nigdy tu już nie powróci, bowiem nie ma go na tym świecie. Na cóż się wam przeto zda moja obietnica, skoro jej spełnienie jest rzeczą niemożliwą!

- Tedaldo — odparł pielgrzym — nie umarł wcale. Niebo mi to objawiło. Jest żywy i zdrowy i za szczęśliwego się poczyta, gdy go łaską swoją od nowa obdarzycie.

- Zważcie na to, co powiadacie — rzekła dama. — Widziałam go martwego przed moim progiem, przeszytego ostrzami pugińców. Trzymałam go w swych ramionach, oblewając gorzkimi łzami martwe jego lica. Łzy moje dały zapewne później materię do gadek złośliwych.

- Cokolwiek byście mi powiedzieli — odparł pielgrzym nie przestanę was zapewniać, że Tedaldo żyje. Jeśli tylko przyrzekniecie mi obietnicę zdzierżyć, wkrótce go tu, jak sądzą, obaczycie.

- Przyrzekam — rzekła dama — i z wielką ochotą słowa dotrzymam, nic bowiem większej radości mi nie sprawi, jak obaczenie męża mego w bezpiecznym i swobodnym stanie, a Tedalda

przy

życiu.

Wówczas Tedaldo osądził, że nadszedł stosowny czas na to, aby dać się poznać i skrzepić

Ermellinę większą jeszcze nadzieją, że mąż jej wolność odzyska.
- Pani — rzekł do niej — chcąc wszystkie wasze obawy co do losu męża rozproszyć, odkryję wam pewną tajemnicę. Nie wyjawiajcie jej jednak nikomu na świecie! Znajdowali się sami we dwoje w ustronnej komnacie, dama bowiem czuła wielką ufność do pielgrzyma, który wydał jej się mężem świątobliwym. Tedaldo zdjął z palca troskliwie strzeżony pierścień, który mu niegdyś w ostatnią noc razem spędzoną dała Ermellina.

- Czy znacie ten pierścień? — spytał pielgrzym. Dama, poznawszy od razu klejnot, rzekła:
- Tak jest, dałam go kiedyś Tedaldowi.
Wówczas pielgrzym wyprostował się, zrzucił z siebie płaszcz i kaptur z głowy i rzekł w narzeczu florenckim:

- A mnie czy także poznajecie?
Na te słowa dama spojrziała nań i poznawszy w nim Tedalda, osłupiała całkiem i zatrwożyła się tak, jak można by się przerazić martwych ciał, które nagle ruszać się zaczęły. Miała go w objęcia pochwycić, jako swojego Tedalda, który z Cypru powracał, uciekać przed nim. chciała, niby przed trupem, co wyszedł z mogiły.
Wówczas Tedaldo rzekł:

- Nie strachajcie się po próżnicy, jestem Tedaldem żywym i zdrowym. Nie umarłem ani nie rozstałem się ze światem, tak jak sądziliście wy i bracia wasi. Ermellina, nieco oprzytomniawszy, chociaż dźwięk jego głosu po dawnemu ją trwożył, spojrziała na niego uważniej i przekonała się, że jest on prawdziwym Tedaldem. Rzuciła mu się przeto z płaczem na szyję i rzekła całując go:

- Bądź pozdrowiony, mój Tedaldo najdroższy!
Tedaldo, ucałowawszy ją i uściskawszy, rzekł w te słowa:

- Nie czas teraz pieśczętom się oddawać. Chcę uczynić wszystko, co w mojej mocy leży, aby Aldobrandino powrócił tu zdrow i cały. Mam nadzieję, że nim jutrzejszy dzień minie, dobre wieści o nim usłyszycie. Jeśli dzisiaj jeszcze czegoś pomyślnego o nim się dowiem, powrócę do was tej nocy, aby się z wami swobodniej niż teraz nowinami podzielić. Co rzekłszy włożył znów na się szaty pielgrzyma, pocałował Ermellinę i nadzieją ją pokrzepiwszy udał się tam, gdzie Aldobrandina więziono. Mąż Ermelliny więcej myślał o śmierci, którą miał ponieść, niżli o możliwości ocalenia życia swego. Uzyskawszy przystęp do Aldobrandina, Tedaldo wszedł do jego celi, jako duchowny pociechę niosący, siadł obok niego na ławie i rzekł:

- Jestem twoim przyjacielem, Aldobrandino; Bóg mnie przysłał tutaj, abym cię wybawił, bowiem uzalił się On nad niewinnością twoją. Jeżeli przez wdzięczność do Stwórcy obiecasz mi spełnić niewielką rzecz, o którą cię zaraz poproszę, to nim jutro wieczorem wyrok śmierci na tobie wykonany zostanie, wolność odzyskasz.

- Sługo boży — odparł Aldobrandino — widzę, że o moje życie się troskasz, dlatego też, chociaż cię nie znam i choć nie pamiętam, abym cię kiedykolwiek widział, musisz w samej rzeczy być moim przyjacielem. Bóg widzi, że nie popełniłem zbrodni, o jaką mnie oskarżono, alisci świadom jestem wielu innych win swoich, za które teraz widocznie pokutować muszę. Zaręczam ci teraz jednak i klnę się, jak przed Bogiem, że jeśli miłosierdzie boże mnie nie opuści, nie tylko tę obietnicę, ale i największe przyrzeczenie wypełnię. Dlatego też żądam ode mnie, czego chcesz, bowiem gdy tylko wolność odzyskam, słowo moje niechybnie zdzierzę.

Wówczas pielgrzym rzekł:
- Nie domagam się od ciebie niczego więcej, tylko abyś przebaczył czterem braciom Tedalda to, że poczytując cię za mordercę Tedalda do tego stanu cię przywiedli, i abyś gdy cię o wybaczenie poproszą, jako braci i przyjaciół ich przyjął.

- Nikt — odparł Aldobrandino — nie czuje tak słodczy zemsty i takiego jej pragnienia jak ci, których pokrzywdzono, jednakże chcąc, aby mnie Bóg wyzwolił, przebaczam im chętnie. Jeśli stąd żyw i cały wyjdę, na wszem twojej woli posłusznym będę. Słowa te wielce się pielgrzymowi podobały, dlatego też poprzestał na tym, co rzekł. Dodał Aldobrandinowi jeszcze raz otuchy i poprosił go, aby nie upadał na duchu, gdyż nim minie dzień jutrzejszy, dowie się z wszelką pewnością o swym uwolnieniu. Po czym udał się wprost do Signorii i rzekł do sędziego:

- Szlachetny panie, powinnością każdego człeka jest prawdę na jaśnię podawać, a w szczególności obowiązek ten ciąży na ludziach na urząd wysadzonych. Winni oni baczyć, aby kara nie spadała na tych, co są niewinni, jeno na łotrów i złoczyńców. Przychodzę tu do was po to, aby się tak stało, ku sławie waszej i ku zgubie tych, co na nią zasłużyli.

Jak to sami dobrze wiecie, wielce surowie postąpiliście z Aldobrandinem Palermi, bowiem się wam zdało, że on to Tedalda degli Elisei zamordował. Śmiercią tedy pokarać go chcecie. Dowiodę wam jednak, że w wielkim błędzie byliście, bowiem jeszcze przed północą oddam w wasze ręce prawdziwych zabójców młodzieńca. Sędzia zacny, któremu los Aldobrandina na sercu leżał, uwierzył chętnie słowom pielgrzyma i o wszystko szczegółowo się go wypytał. Za jego wskazaniem pochwycono w gospodzie bez walki dwóch braci oberżystów i ich służbę, kiedy ci byli w głębokim śnie pogrążeni. Gdy dla wydobycia prawdy chciano ich wziąć na tortury, wszyscy bez żadnych wybiegów przyznali się do zamordowania nie znanego im Tedalda. Badani o przyczynę zbrodni odpowiedzieli, że uczynili to dla zemsty, bowiem młodzieniec ów pod ich nieobecność w gospodzie chciał żonie jednego z nich gwałt zadać i siłą zmusić ją do tego, aby jego woli posłuszną była. Pielgrzym, usłyszawszy te słowa, oddalił się za pozwoleniem urzędnika Signorii i niepostrzeżenie udał się do domu Ermelliny. Wszyscy już spali, czuwała tylko żona Aldobrandina, czekając na przybycie Tedalda. Równie była spragniona dobrych wieści o mężu co i pogodzenia się całkowitego z kochankiem. Tedaldo, wszedłszy do komnaty, rzekł z wesołym obliczem: - Raduj się, najdroższa moja, bowiem już jutro rano powitasz swego Aldobrandina, cieszącego się dobrym zdrowiem. I ażeby ją dowodnie o tym przekonać, opowiedział jej o wszystkim, co w Signorii zaszło. Ermellina, niezmiernie uradowana tymi dwoma nieoczekiwanymi wypadkami: odnalezieniem Tedalda, którego za martwego poczytywała, i uratowaniem męża, którego śmierć już za kilka dni opłakiwać miała, rzuciła się Tedaldowi na szyję i uściskała go serdecznie. Później udali się pospołu do łóża i tam skwapliwie wesoły pokój zawarli nie szczędząc sobie rozkoszy. Gdy dzień nastał, Tedaldo podniósł się z pościeli, oznajmił kochance, co chce uczynić, i poprosił ją raz jeszcze, aby wszystko w głębokiej tajności zachowała. Później, ubrany w strój pielgrzyma, wyszedł z jej komnaty, aby się sprawami Aldobrandina zająć. Signoria, przeświadczona dowodnie o niewinności Aldobrandina, wypuściła go rychło na wolność, zasię morderców w kilka dni potem na miejscu zbrodni stracić kazała. Aldobrandino znalazł się na swobodzie ku niewymownej radości swojej i żony, wszystkich krewniaków i przyjaciół. Pomnąc, że pielgrzymowi wolność zawdzięcza, jął go prosić, aby przez cały czas pobytu w mieście w jego domu pozostał. Wszyscy starali się z całych sił uczcić go i ugościć należycie, osobliwie Ermellina, świadoma, że dla niej starań swych nie litowała. Po pewnym czasie Tedaldo zapragnął braci swych z Aldobrandinem pogodzić. Wiedział dobrze, że ci nie tylko nie uspokoili się, gdy Aldobrandino wolność odzyskał, ale nawet uzbroili się, obawiając się jego zemsty, i dlatego też poprosił gospodarza, aby dotrzymał obietnicy w więzieniu danej. Aldobrandino gotowość swoją okazał. Wówczas pielgrzym poprosił go, aby następnego dnia wspaniałą ucztę wydał, na którą przybyć mieli czterej bracia Tedalda wraz z swymi małżonkami, nie licząc krewniaków i przyjaciół Aldobrandina. Sam podjął się ich w jego imieniu na ucztę sprowadzić. Aldobrandino, gotów we wszystkim zadość mu uczynić, przystał na prośbę pielgrzyma, który natychmiast do swych braci się udał. Natrudziwszy się niemało, stosownymi słowami i argumentami nieodpartymi wreszcie ku temu ich przywiódł, że zgodzili się pójść do domu Aldobrandina, aby go o przebaczenie błagać i przyjaźń jego odzyskać. Następnego dnia koło południa zjawili się w domu Aldobrandina czterej bracia Tedalda, ubrani w szaty żałobne, w otoczeniu przyjaciół swoich. Gospodarz już ich oczekiwał. W przytomności wszystkich zebranych rzucili oręż na podłogę i oddali się w ręce Aldobrandina, prosząc go, aby puścił w niepamięć krzywdy mu wyrządzone. Aldobrandino ze łzami uściskał ich serdecznie i każdego w usta ucałował mówiąc, że już żadnej urazy do nich nie żywi. Wkrótce zjawily się ich żony i siostry w ciemne stroje przyodziane, które Ermellina wraz z innymi niewiastami wdzięcznie powitała. Wszyscy byli ukontentowani z przyjęcia, bowiem uczta wspianiale wypadła, jeno ciążyła im rzecz jedna: milczenie, którego przyczyną był świeży smutek, wyrażający się w żałobnych szatach rodziny Tedalda. Wielu nawet ganiło w duchu pielgrzyma za pomysł tej biesiady. Tedaldo domyślił się tego, a sądząc, że właściwy czas nadszedł, powstał od wieczerzy, gdy zajadano jeszcze owoce, i rzekł: - Aby dzisiejsza uczta na wszem wesoła być mogła, brakuje nam tylko Tedalda. Ponieważ nie poznaliście go, gdy z wami przez cały czas tutaj bawił, chcę wam go teraz pokazać. Przy tych słowach rzucił z siebie pielgrzymie szaty i ukazał się oczom przytomnych w zielonym strojnym kaftanie. Chociaż go poznano, przecie nikt nie mógł uwierzyć, że jest to Tedaldo we własnej osobie. Widząc powszechnie osłupienie, Tedaldo przypomniał zebrany różną okoliczności ich tylko dotyczące i opowiedział im siła przypadków swoich. Wówczas bracia i

przyjaciele, łzami radości się zalewając, rzucili się mu w ramiona. Za ich przykładem poszły białołowy, nawet i nie krewniaczki, krom jednej tylko Ermelliny.

- Dlaczego, Ermellino, nie chcesz, jak inne, Tedalda powitać? — zapytał Aldobrandino.

- Z całego serca powitać bym go pragnęła! — zawołała głośno Ermellina — i uczyniłabym to ochotniej od innych, teraz go witających, bowiem obligowana mu jestem więcej niż ktoś bądź za to, że dzięki jego staraniom ciebie, Aldobrandino, odzyskałam, aliści różne plotki i gadki kłamliwe, rozsiewane przez ludzi wówczas, gdyśmy rzekomego Tedalda opłakiwali, uczynić mi tego nie pozwalają.

- Daj pokój — odparł Aldobrandino — zali myślisz, że wierzę złym językom? Nie szczędząc starań, abym ja wolność odzyskał, dowiódł Tedaldo niezbitcie, że wszystko to były kłamstwa potwarcze, którym nigdy wiary nie dawałem. Zbliź się i obejmij go! Dama, niczego bardziej nie pragnąca, nie omieszkała wypełnić rozkazu męża. Rzuciła się na szyję Tedaldowi, idąc za przykładem innych, i z radością go ucałowała. Wielkoduszność Aldobrandina wielce podobała się braciom Tedalda i wszystkim przytomnym. Usunęła też osad wszelki, jaki krążące pogłoski pozostawić mogły w umyśle niektórych. Gdy tak każdy na widok Tedalda się radował, ów zerwał żałobne szaty z braci i sióstr i rozkazał, aby im inne szaty przyniesiono. Przedziawszy się wiele pili, tańcowali i różnym igrom się oddawali, tak iż uczta, która się w milczeniu zaczęła, w powszechnej wesołości się zakończyła. Wreszcie wszyscy przenieśli się do domu Tedalda, gdzie do wieczerzy zasiedli. Uroczystości trwały jeszcze przez dni kilka wpośród niesłabnącej radości i wesela. Jednakże Florentczycy ciągle patrzyli na Tedalda jak na powstałego z grobu i dziw jakowyś. W duszach ich, a nawet jego braci, czaiła się jeszcze nieśmiałość wątpliwa, zali to on jest w samej rzeczy Tedaldem. Być może, że ta wątpliwość nigdy by była nie zniknęła, gdyby nie zdarzył się wypadek, dzięki któremu odkryto, kto zabity został. Pewnego dnia obok domu Tedalda przechodzili żołnierze z Lunigiany. Obaczywszy Tedalda podeszli do niego i rzekli:

- Jak się masz, Faziuolo!

- Bierzecie mnie widać za kogoś innego — odparł Tedaldo w obecności braci. Żołnierze słowa te usłyszawszy zmieszali się i przeprosili go:

- Wybaczcie nam, panie, ale tak podobni jesteście do jednego z naszych towarzyszy, jak tylko człowiek do człowieka podobien być może. Zowią go Faziuolem z Pontremoli. Przybył on przed dwoma tygodniami do tego miasta i odtąd słuch o nim zaginął. Co prawda zadziwił nas nieco strój wasz, był bowiem żołnierzem jako i my. Usłyszawszy to starszy brat Tedalda podszedł do nich i zapytał:

- Jak był odziany wasz Faziuolo?

Żołnierze opisali swego towarzysza. Wówczas z tej oznaki, jako i z innych jeszcze, jawnym się stało, że zamordowany został nie Tedaldo, lecz Faziuolo. Znikły więc ostatnie wątpliwości w duszach braci i mieszkańców grodu. Tedaldo, który jako człek bogaty do miasta powrócił, pozostał wierny miłości swojej. Ermellina już wspank jego chęciom nie stawała. Dzięki swojej czujności i roztropności przez długie lata jeszcze miłością swoją się cieszyli. Oby Bóg i nam tak się cieszyć pozwolił!»

(Publikacja: 02-08-2002)

[Oryginał..](http://www.racjonalista.pl/kk.php/s,1634) (<http://www.racjonalista.pl/kk.php/s,1634>)

Contents Copyright © 2000-2008 Mariusz Agnosiewicz

Programming Copyright © 2001-2008 Michał Przech

Autorem tej witryny jest Michał Przech, zwany niżej Autorem.

Właścicielem witryny są Mariusz Agnosiewicz oraz Autor.

Żadna część niniejszych opracowań nie może być wykorzystywana w celach komercyjnych, bez uprzedniej pisemnej zgody Właściciela, który zastrzega sobie niniejszym wszelkie prawa, przewidziane w przepisach szczególnych, oraz zgodnie z prawem cywilnym i handlowym, w szczególności z tytułu praw autorskich, wynalazczych, znaków towarowych do tej witryny i jakiegokolwiek ich części.

Wszystkie strony tego serwisu, wliczając w to strukturę katalogów, skrypty oraz inne programy komputerowe, zostały wytworzone i są administrowane przez Autora. Stanowią one wyłączną własność Właściciela. Właściciel zastrzega sobie prawo do okresowych modyfikacji zawartości tej witryny oraz opisu niniejszych Praw Autorskich bez uprzedniego powiadomienia. Jeżeli nie akceptujesz tej polityki możesz nie odwiedzać tej witryny i nie korzystać z jej zasobów.

Informacje zawarte na tej witrynie przeznaczone są do użytku prywatnego osób odwiedzających te strony. Można je pobierać, drukować i przeglądać jedynie w celach informacyjnych, bez czerpania z tego tytułu korzyści finansowych lub pobierania wynagrodzenia w dowolnej formie. Modyfikacja zawartości stron oraz skryptów jest zabroniona. Niniejszym udziela się zgody na swobodne kopiowanie dokumentów serwisu Racjonalista.pl tak w formie elektronicznej, jak i drukowanej, w celach innych niż handlowe, z zachowaniem tej informacji.

Plik PDF, który czytasz, może być rozpowszechniany jedynie w formie oryginalnej, w jakiej występuje na witrynie. **Plik ten nie może być traktowany jako oficjalna lub oryginalna wersja tekstu, jaki zawiera.**

Treść tego zapisu stosuje się do wersji zarówno polsko jak i angielskojęzycznych serwisu pod domenami Racjonalista.pl, TheRationalist.eu.org oraz Neutrum.eu.org.

Wszelkie pytania prosimy kierować do redakcja@racjonalista.pl